



Kocham KINO

Lato, a tak chłodno. Lipiec, a tak mokro. Urlop, a tak już dosyć beczynności.

Uwiązane deszczem pytamy: zgrzeszyć? Upić się? Założyć szulernię? Grać w durnia? Siebie i resztę kuracjuszy wytruć? Co bądź z tego, ale coś trzeba.

Od rana wpatrzone w zaciągnięte chmurami niebo składamy solenne przyrzeczenie, że już nigdy, ale to nigdy naupa narzekać nie będziemy.

Gabriela poszła do swoich szesnastoletnich rówieśnic. Będą organizowały dyskotekę.

Teresa z Anną pograżyły się w rozmowie o podróży. Były wszędzie. Brakuje im tylko biegunów. No! Teresie jeszcze Ameryki Południowej i odcinka od San Francisco do Yokohamy.

Siedzą w fotelach z podkurczonymi nogami, piją ogromne ilości bezkofeinowej kawy i przerzucają się z kontynentu na kontynent. Pikują samolotami, dudnią pociągami, świstają torpedami. Opowiadają sobie, że na rogu Trzydziestej Ósmej i Piątej Avenue, w tym włoskim sklepie z butami, do którego żadna ortodoksyjna eleganka nawet nie zajrzy, można kupić naprawdę świetne pantofle, a jeśli kupuje się trzy pary, to dostaje się czwartą za darmo. Że w Australii, w drodze do Sydney, na tym zakręcie, na którym wykopyrtnęło się tysiąc samochodów, jest motel z lodami, jakich nigdzie na całym świecie nie ma. Że na statku kursującym między Honsiu i Hokkaido podają czarny ryż tak przyprawiony kandyzowanymi glistami, że nasze smażone skórki pomarańczowe mogą się przy nich schować.

Niechętna kandyzowanym glistom oddałam się „Gazecie Wyborczej”. Przeczytałam od deski do deski, nie wyłączając klepsydr. Ogłoszenia i reklamy również. Nawet nudny jak flaki z olejem „Supermarket”. Najdłużej zatrzymał mnie dodatek nowosądecki. Miejscowe aktualności, dyżury aptek, muzea, kina... o! to interesujące. Ostatni raz byłam w kinie podczas ubiegłorocznego urlopu w Iwonicy.

W Krynicy grają „Oblężonych”, w Muszynie „Twierdzą”, w Starym Sączu „Pestkę”. Dobra nasza! „Pestki” nie widziałam, a gram w niej przeciw. No, „gram” to może za duże słowo, ale jestem w niej obecna, w dodatku jako matka Daniela Olbrychskiego. Na premierze być nie mogłam, potem tak jakoś się zeszło i film mi uciekł. Za książką kiedyś przepadałam. Zapłakiwałam się nad nią i należała do moich najbardziej ulubionych.

- Dziewczyny! Jedziemy do kina.

Spojrzały na mnie półprzytomne, bo właśnie spacerowały po plażach Camarque i piosły stada flamingów.

- Do jakiego kina?

- Do Starego Sącza. Kiedy byliście ostatni raz w kinie?

Okazało się, że dawno. Tak dawno, iż nie umiały sobie przypomnieć. Propozycję przyjęły. Nawet

wywabiły Gabrielę z burzliwej dyskusji na temat gdzie, jak, z kim, tę dyskotekę urządzać.

Wsiadłyśmy do naszego landrovera pełne entuzjazmu. Zadbaliśmy o stroje, a Gaby nawet utuszczała rzęsy.

Zajechałyśmy na rynek Starego Sącza z fasonem czterech zadzierzystych furmanów, bo tak cieszyliśmy się już na to kino. Żeby uzbroić się przed sennością ciemnej sali kinowej, wypiliśmy po dużej kawie ze śmietanką, kupiliśmy po jednym batonie czekoladowym i lu! - na 15 minut przed seansem stanęliśmy przed kasą kina „Poprad”.

Pan sprzedający bilety zdziwił się.

- Panie do kina?

- Do kina.

- Na piątą?

- Na piątą.

Podniósł okulary na czoło i przypatrywał się nam uważnie.

- Miejsca nie numerowane - powiedział wreszcie i wciąż dziwnie dziwiąc się, wyrwał z bloczka cztery bilety.

- Jeśli panie chcą już wejść na salę, to proszę bardzo.

Chciałyśmy. Weszłyśmy. Okazało się, że jesteśmy jedynymi klientkami. Sala duża na co najmniej 500 miejsc, a nas tylko cztery.

Usiadłyśmy więc, każda w osobnym rzędzie. Można było powiedzieć, że frekwencja wypełniła cztery rzędy. Teresa zaniepokoiła się, czy aby puszcza film, bo to przecież chyba nieopłacalne dla tak znikomej liczby widzów, ale film puścili i nawet jako dodatek pokazali reklamy.

Anna, chwalać sobie swoje odosobnienie, zapaliła papierosa. Gabriela, z nogami na oparciu fotela, grzechotała miętowymi tik-takami. Teresa, siedząca na czele kolumny, wydawało się, że zapadła w drzemkę, bo siedziała dziwnie cicho i niema.

Niestety, myliłam się. Wcale nie spała, wprost przeciwnie, zaczęła komentować i zadawać pytania, jak to ona tylko potrafi. Melodramatyczna tonacja filmu zaczęła nabierać kolorów komediowych. Anna z Gabrielą, traktując Teresę poważnie, próbowały ją stopniowo oświecać w sprawie historii dwojga zakochanych, ale Teresa uparła się nic nie rozumieć i czyniła nadal swoje. Na naszej czteroosobowej widowni zaczęło być bardziej dynamicznie niż na ekranie. Błagałam je, żeby pozwoliły mi spokojnie obejrzeć dzieło, w którym miałam przyjemność wziąć udział, ale one były bez litości. A co najgorsze, nie mogłam im niczego zarzucić, bo ani nie kpily, ani nie szydziły, wymieniały tylko uwagi i odpowiadały na Teresine pytania. Powiedziałyby, że robiły to nawet z pewnym przejęciem i zaangażowaniem w akcję, ale były nie do wytrzymania.

W pewnej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Gabriela, która książki nie czytała i nie znała

tragicznego zakończenia grzesznej miłości Agaty i Sergiusza, zaczęła okropnie przejmować się nieuchronnością katastrofy, która powoli nadciągała z ekranu.

- Jakie wy jesteście! Czy wy nigdy nie kochałyście?

Naprawdę nie wiem, dlaczego nas to rozśmieszyło. Zaczęłyśmy głupkowato chichotać.

- Oni cierpią, a wy się wygłupiacie. Jesteście okropnymi starymi cyniczkami!

No, nie! Mogłyśmy być cyniczkami, w końcu każda z nas przeżyła jakąś grzeszną miłość w życiu, jedna większą, druga mniejszą, ale żebyśmy były stare? Na to żadna z nas nie mogła wyrazić zgody. Na dobrą sprawę, byłyśmy nie od tego, żeby nie przeżyć jeszcze jednej, kolejnej grzesznej miłości, ale czy to nasza wina, że życie nie przynosiło okazji? Więc co taka smarkuła ma nam ubliżać? Niemniej monity smarkuły pomogły i kiedy Kryśka Janda, czyli Pestka, czyli Agata, z tej miłosnej rozpaczki wpadła pod tramwaj i przejechała ją na śmierć, zamilkłyśmy wszystkie na amen.

Zapaliło się światło na sali, a my siedziałyśmy w osobnych rzędach i każda z osobna rozmazywała łzy na policzkach. Jedna Teresa bronila się przed wzruszeniem. Patrząc na mnie spod oka zapytała:

- Ty grałaś w tym filmie? Nie zauważyłam.

Zatchnęło mnie z oburzenia. Postanowiłam nie odezwąć się do niej przez cały wieczór.

Na drugi dzień pojechałyśmy do Krynicy, żeby pospacerować po deptaku. Swojsko wsiowe Koszarzyska nie zaspokajały potrzeby zaprezentowania naszych interesujących osobowości i strojów. Musiałyśmy od czasu do czasu wyjść „w świat”.

Pierwszą rzeczą, jaką Gabriela zrobiła, było kupno w księgarni pod Domem Zdrojowym „Pestki” Anki Kowalskiej. W nowym wydaniu, z fotografią Jandy i Olbrychskiego na lakierowanej okładce. Zaczęła czytać natychmiast przy stoliku w kawiarni, do której wstąpiłyśmy na lody. Nawet nie poszła do sklepiku vis-à-vis, żeby zobaczyć białe szorty za 80 złotych.

Czytała ukradkiem również przy kolacji. Następnego dnia nie poszła na odchudzający marsz pod północny stok wawozu, a kiedy jej szesnastoletnie rówieśnice zapraszały ją do zorganizowania dyskoteki, odpowiedziała z rozmarzonym spojrzeniem:

- Muszę skończyć książkę.

Kiedy skończyła, puściła ją w kurs i nikt już podczas naszego pobytu w Koszarzyskach nie mówił ani o dyskoteci, ani o nudzie, ani o złej pogodzie. Wszyscy kupili „Pestkę”, czytali i rozmawiali o niej, i wspominali własne pestkowe przygody i związania z nimi tarapaty.

A wszystko zaczęło się od kina. Przed kinem nikomu nie przyszło do głowy, że kiedy nudno, to można poczytać. Niekoniecznie tylko „Pestkę”. Więc kocham kino.